ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. | **Niedziela 21 października 1934 r.** | **Nr. 43**

Marjan Reutt

Maszyna + człowiek = szofer

Człowiek współczesny jest w gruncie rzeczy koczownikiem. W tem tkwi poniekąd wytłumaczenie zainteresowania się techniką. W tem też tkwi wyjaśnienie doniosłej roli prasy. Człowiek szuka nowych miejsc, innego otoczenia, pchany tą samą tajemniczą siłą, która na początku średniowiecza pchała hordy barbarzyńców na podbój świata. Ludzie wówczas wędrowali masami, nie uświadamiając sobie konkretnego celu wędrówki. Pochłaniał ich pęd, ruch i podboje. I dziś w pewnym sensie jest sytuacja podobna. Człowiek poprostu szuka ruchu, chce zdobywać i podbijać, chce działać i tworzyć. Pcha go do tego przemożny instynkt, potężna siła żywiołowa. Wędrówki ludów, to było na wielką skalę wyładowanie się takich żywiołowych sił ludzkości.

Zjawiskiem podobnem była wielka wojna. W nieskończonych marszach odżywał tam instynkt koczowniczy, tłumiony warunkami życia osiadłego i cywilizacji. W tchnących szaleństwem grozy nocnych atakach, budził się chciwy krwi pierwotny człowiek. Mijając ruiny i zgliszcza czuł każdy, że jest i że działa. Przemierzając olbrzymie przestrzenie, każdy rozumiał, że na muszce jego karabinu ważą się losy świata. Człowiek czuł, że jest groźną siłą dziejową. I wyniósłszy z wojny to uczucie, narzucił całej epoce swój styl, żołnierski i zdobywczy styl.

Człowiek z rowów strzeleckich i dziś, zdala od wojny, czuje się siłą dziejową. Buduje. Przebudowuje rzeczywistość, bo jest mu za ciasno w dawnych ramach. Tworzy technikę i gromadzi narzędzia podboju. Pędzi autem, bijąc rekordy. Boksuje. Biega. Przeżywa rzeczywistość bezpośrednio. Nadaje tempo epoce. Czyta szybko gazetę, bo na czytanie książek ma czasu zamało. Keyserling powiada, że dziennikarz i szofer, to typy reprezentatywne współczesnej epoki. Technizowani koczownicy, a nawet barbarzyńcy.

HERMANN KEYSERLING

Kim jest Keyserling?

Keyserling... Ani dziennikarz, ani szofer. Pozostałość tych czasów, kiedy kryterja podziału były inne. Człowiek, który próbuje tłumaczyć sens różnych Challenge'ów, lub Gordon Bennetów, a nawet sens całej tej dziwnej epoki, w której żyje drugą połową swego życia. Hermann Keyserling jest pisarzem nowoczesnym, nietylko chronologicznie, ale i mentalnie, jest także filozofem, filozofem praktycznym. Pochodzi ze sfery, która może sobie nawet dzisiaj pozwolić na zajmowanie się wyłącznie myśleniem, ale która rzadko z tego przywileju korzysta, pozostawiając to zajęcie wspaniałomyślnie zawodowcom.

Keyserling jest arystokratą i człowiekiem zamożnym, stać go więc na to, żeby myśleć, obserwować, wnioskować i pisać. Robi to z wewnętrznym ogniem, krzyżacką pasją i dokładnością. Styl ma raczej ciężki i suchy. Czytał sam b. dużo, zna świetnie filozofję wschodnią, zwłaszcza chińską, zajmuje się okultyzmem i nauką tajemną, jest człowiekiem wykształconym. Ma pozatem majątek na Pomorzu, co dla wielu z czytelników, będzie stanowiło szczegół, charakteryzujący człowieka.

Keyserling napisał bardzo dużo. Książki o filozofji, polityce i ekonomji, o małżeństwie, a nawet o okultyźmie, cieszyły się dużem powodzeniem. Są ciekawe. Niestety u nas nikt nie ma czasu, żeby je tłumaczyć. Wszyscy są zajęci literaturą „lekką". Redaguje również Keyserling perjodyki. Wyszedł dotąd pod jego redakcją, szereg tomów „Der Leuchter'a", sprawozdania Szkoły Mądrości i szereg tomów „Drogi doskonalenia". W pracach Keyserlinga przegląda zasadnicza idea, że filozofja jest tylko zdolnością konstruktywnego życia. Nie chodzi mu bynajmniej o myślenie dla samego myślenia, ale o myślenie dla tworzenia. Twórczość jest zasadniczym motywem wszelkiej filozofji i jednocześnie filozofja musi być impulsem do tworzenia.

ŚWIAT, KTÓRY POWSTAJE

Żyjemy w okresie, kiedy pewne formy współżycia przeżyły się i przestały odpowiadać ludzkości. Powstają nowe idee, dając początek nowym kierunkom w etyce, filozofji, prawie, ekonomice, literaturze i sztuce. Tworzy się jakaś nowa rzeczywistość. Ludzie stają się inni. Trudno mówić, czy lepsi, czy gorsi. Poprostu inni. Jakością realną, wywierającą duży wpływ na kierunek rozwoju społeczeństw ludzkich, stała się maszyna. Występuje ona, jako swego rodzaju siła dziejowa i narzuca nadchodzącej epoce swój specyficzny styl. Najbardziej charakterystyczną cechą tego stylu jest tempo. Oszałamiające, rekordowe tempo. Ludzie żyją dziś kilkakrotnie szybciej, ale jeszcze nie nauczyli się tak szybko myśleć.

Maszyna narzuca pewne konieczności. Sprawność jej jest pewnego rodzaju bezwzględnym postulatem pod adresem intelektualnej maszynerji człowieka - mózgu. Maszyna zmusza człowieka do szybkiego myślenia, do odruchowej niemal, ale jednakże przemyślanej reakcji. Ludzie przeklinają maszyny, ale entuzjazmują się autem, samolotem, albo nawet karabinem maszynowym. Imponuje im ta straszliwa, nieubłagana sprawność i siła, których twórcami się czują. Powstaje poezja maszyn, pisze się o demonie ruchu, lub szybkości. Są nawet tacy, którzy maszyny się boją. I mimo to wszystko, każdy korzysta chętnie z usług stalowych potworów. Ułatwiają one naogół życie. Maszyna jest najprzyjemniejszym rodzajem niewolnika, względnie łatwym do prowadzenia.

Świat, który powstaje, to świat człowieka i jego maszyny. Jaki to świat?

Keyserling powiada, że to świat realizowania nowego sensu, nowej prawdy i mądrości.

„Nie piszę, żeby malować to, co jest, lub co być może — powiada Keyserling, w swoim „Świecie, który powstaje", — ale dlatego piszę, żeby narodził się jaknajlepszy, z możliwych, stan rzeczy".

Keyserling mówi, że cała tradycyjna kultura globu chyli się ku upadkowi. Nie chodzi tu wyłącznie o Zachód, jak twierdzi Spengler w swojej książce „Upadek Zachodu". Pojęcie „kultura", oznacza u Keyserlinga „formę życia, jako przejaw bezpośredni ducha". Oczywiście uważa on kulturę za prawdziwy organizm duchowy. „W charakterze organizmu podlega kultura naturalnemu prawu ewolucji i śmierci".

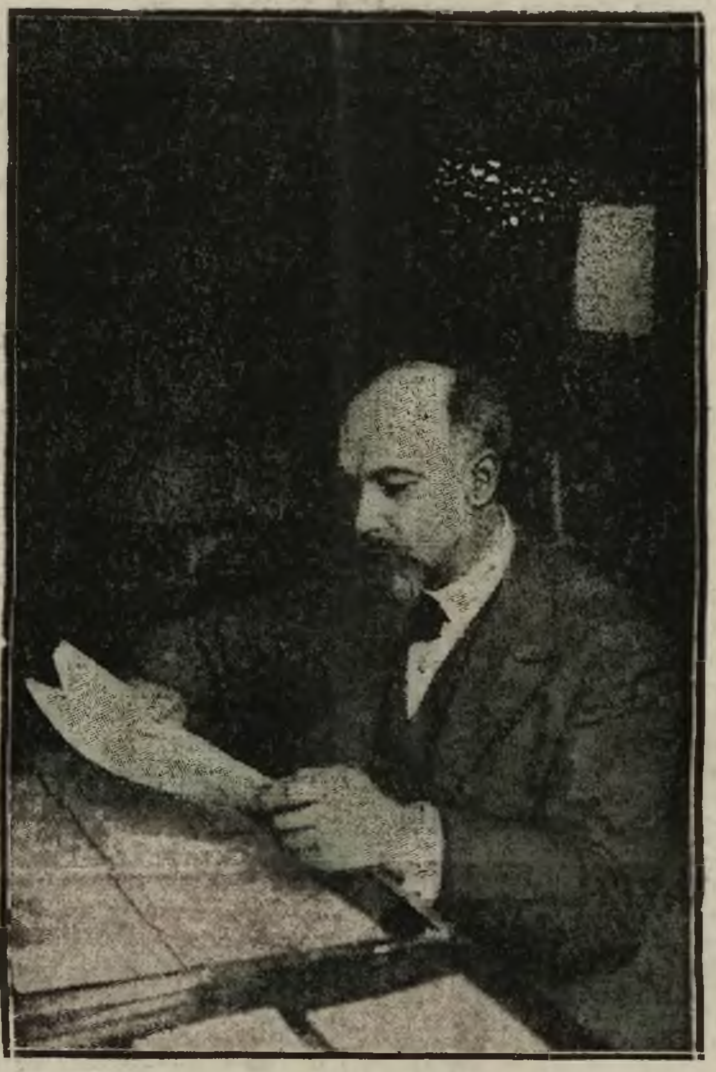
Wszystko, co żyje znajduje się w stanie ciągłej przemiany. Znikają jedne kultury, a na ich rumowiskach powstają nowe. Jest to niezłomne prawo. „Kultury znikają przedewszystkiem, kiedy są wyczerpane i kiedy sens, który wcielają, znajdzie swój ostateczny wyraz. Wówczas one mogą tylko skamienieć. To jest ich śmierć naturalna i taki właśnie rodzaj końca ma wyłącznie na względzie Spengler".

Kultura pozostaje w ścisłym związku z człowiekiem, z jego psyche, jako głównym motorem twórczości. W oderwaniu od człowieka o istnieniu kultury mowy być nie może. Kultura będąc wynikiem procesów psychicznych zmienia się łącznie ze zmianami tych procesów. I jeżeli stan duchowy człowieka ulega zmianie, zmienia się także i odpowiadająca mu kultura. W ten sposób może ona całkowicie zamrzeć, bo w twórczych procesach psychicznych zabraknie odpowiednich impulsów, kształtujących i podtrzymujących jej życie. „Zasadniczym momentem — mówi Keyserling — jest to, że organizm psychiczny człowieka został przeżarty przez intelekt, w wyniku zmian stąd powstałych, wszystkie dawne kultury, zostały skazane na zagładę".

Powstaje teraz zagadnienie, co kształtowało intelekt współczesnego człowieka? Co wpłynęło na zmianę jego psychiki? Głównym czynnikiem kształtującym był tu postęp techniczny. Postęp ten zespolił człowieka z motorem i ułatwił oddziaływanie maszyny na duszę ludzką. Zdobycze techniczne mają łatwość udzielania się, a tem samem i urabiania dusz. „Postęp techniczny jest specjalnym przejawem intelektu" — mówi Keyserling. Każda nowa prawda jest swego rodzaju jajkiem Kolumba. Otóż prawdy w dziedzinie techniki są niesłychanie przystępne i dlatego wpływ ich rozciąga się na szerokie masy. Dlatego też w dzisiejszej epoce panowania techniki, duch mas nabrał specjalnego charakteru. W tem tkwi źródło materjalizacji najszerszego ogółu tych, którzy poza prymitywne, oczywiste i łatwo uchwytne prawdy nie są zdolni wyjść.

Materjalistyczny światopogląd ma dlatego duże wpływy w masach, bo jest prosty, a więc zrozumiały dla najmniej wyszkolonych umysłów. Technizowanym barbarzyńcom najbardziej odpowiada światopogląd, w którym cała rzeczywistość tworzy jeden wielki mechanizm. Świat jako maszyna jest czemś niezwykle plastycznem dla umysłowości takiego człowieka. Keyserling to doskonale rozumie i formułuje na tej podstawie wnioski w odniesieniu do przyszłości kultury. Problem materjalizmu, czy idealizmu zamyka się z jednej strony w takich, czy innych możliwościach rozwoju intelektualnego mas, a z drugiej udziału tych tak, czy inaczej rozwiniętych mas, w tworzeniu kultury.

Typem reprezentującym ducha mas i typem, charakteryzującym nowy, powstający świat jest — szofer.



Hermann von Keyserling

SZOFER

Szofer, to człowiek motoru. To ten, który kieruje samolotem, samochodem, czy jaką inną maszyną. Średniowiecze wykształciło typ mnicha rycerza, epoka współczesna daje typ szofera. „Szofer, to technizowany człowiek pierwotny. Zdolności techniczne są ogromnie bliskie zmysłowi orjentacyjnemu dzikusa, sama technika na to wskazuje: budzi ona w człowieku, który jest jej panem,— i to tem mocniej, im bardziej jest on prymitywny — poczucie swobody i siły: stąd samo przez się wynika, że większość ludzi wzoruje się dziś na typie szofera, że każde dziecko chce przedewszystkiem być szoferem (i jeżeli częstokroć mówi „inżynier", to oczywiście ma na myśli „szofera").

Pierwsze tedy reprezentacyjne typy nowego, rodzącego się świata, wyjąwszy przewodników duchowych, należą wszędzie, jakiekolwiek przybierałyby miano, do typu szofera.

Amerykanin przedwojenny, był już w oczach Europejczyka szoferem. W gruncie jednak rzeczy nie był on nim w stanie czystym, gdyż wzrastał w atmosferze moralnej mniej prymitywnej, niż obecna młodzież, która wyniosła wyobrażenie życia bezpośrednio lub pośrednio z pierwotnej egzystencji w rowach strzeleckich. Faszysta jest niczem więcej jak włoskim typem szofera, bolszewik typem rosyjskiego, a przeciętny Azjata, zwolennik postępu, jest szoferem par excellence. Stąd wrogi stosunek ich wszystkich do tradycji i właściwy ludziom pierwotnym kult siły brutalnej".

Przytoczony powyżej ustęp Keyserlinga przypomina nieco teorję Bierdiajewa w „Nowem Średniowieczu", dotyczącą „ludzi w skórzanych kurtkach", rządzących obecnie Rosją i Italją i stanowiących w istocie nowy typ antropologiczny, wychowany w okopach podczas wojny światowej. W tem ujęciu przez Keyserlinga problemu szofera, widać pewne wpływy Bierdiajewa na intelektualistów niemieckich. W istocie też nie ograniczają się one bynajmniej do Keyserlinga,

„Powodzenie bolszewizmu w Rosja nie ma nic wspólnego z teorją, w tym wypadku komunistyczną. Wynika ono prawie wyłącznie z faktu, że dzięki tej teorji, typ szofera doszedł do władzy, typ, który, będąc z praktycznego punktu widzenia wyższym od wszystkich innych, nie pozwoli się wyeliminować, musi więc bronić filozofji, której zawdzięcza swą władzę, nawet wówczas, gdyby dla niego samego nie miała żadnego znaczenia..." Oczywiście nie można się tedy dziwić, że ideologja Marksa jest dogmatem i wyznaniem wiary bolszewickiego szofera. Natura nie znosi próżni i zamiast kultu Boga i cara, mamy obecnie w Rosji kult materji i Lenina. Zresztą pojęcie materji jest dużo mniej logiczne i uchwytne od pojęcia Boga. „Rosja, z europejskiego punktu widzenia, pozostanie rdzennie bolszewicką nawet wtedy, kiedy inna ideologja i inny system rządzenia wyrugują tych, którzy panują obecnie, ponieważ pozostanie tam u władzy ten sam typ bolszewicki".

W Rosji mamy technokrację, czyli rządy techniki. Oficjalnie rzucono tam hasło, że komunizm = władzy sowieckiej + elektryfikacja. W równaniu tem odbija się ogólne równanie epoki współczesnej: **maszyna + człowiek = szofer.** Panowanie szofera jest kwestją istnienia lub zwyrodnienia tego typu, jako najbardziej odpowiadającego duchowi czasu. Kultury stare znikają, tak, jak po pewnym czasie zniknie kultura, odpowiadająca epoce szofera. „Gdy umiera żywy przedstawiciel — mówi Keyserling — umiera razem z nim i stara kultura. Ponieważ wszelki stan psychiczny o charakterze ogólnym przedłuża się wyłącznie przez pewne typy konkretne (zupełnie tak samo, jak pokolenia przedłużają się przez następujące po sobie osobniki), więc i treść duchowa żywej tradycji ginie razem z daną kulturą. W ten sposób umarła kultura egipska, pomimo, że fellach należy do tej samej rasy, która zrodziła niegdyś Faraonów. Tak zginęła kultura arabska, chociaż żyje do dziś dnia rasa, która ją stworzyła. Wszelka stara kultura jest dzisiaj w upadku na całym świecie, ponieważ nowy typ, określający współczesność, wyrzeka się dawnej tradycji".

Umiera stara kultura, a wraz z nią ginie dawny typ człowieka, dawne państwo, dawny ustrój gospodarczy, słowem całokształt tego, co tworzył umierający dziś typ psychiczny.

PAŃSTWO POWSZECHNE

Czasom obecnym odpowiada także nowy typ państwa. Duchowi czasu odpowiada nie jakiś twór międzynarodowy, lecz raczej nadnarodowy, wynikły z połączenia wyraźnych indywidualności narodowych. Organizacja ta — powiada Keyserling — ma przypominać Związek Sowiecki, a więc być rodzajem dobrowolnej Unji narodów. Oczywiście Keyserling zapomina, że Sowiety są tylko formalnie dobrowolnym związkiem, który faktycznie łączy poszczególnych członków w jedną całość siłą. Wystarczy przypomnieć, jak dusi się najmniejsze tendencje separatystyczne na Ukrainie. Podstawą przyszłego związku ma być łączność gospodarcza — dowodzi Keyserling, zapominając o tych głębokich antagonizmach gospodarczych, które dziś częstokroć mocniej od politycznych dzielą poszczególne państwa i narody. Toteż wątpić można, czy kiedykolwiek spełni się życzenie Keyserlinga, że nie będzie ani Niemców, ani Francuzów, ale członkowie państwa powszechnego narodowości francuskiej lub niemieckiej.

* * *

„Świat, który powstaje" Keyserlinga tchnie naogół pesymizmem i niemocą. Czuje się wyraźnie, że to pisał człowiek, który odchodzi. Człowiek ten reprezentuje epokę pacyfistycznych złudzeń. Słuszną natomiast wydaje się teza, że epoka współczesna jest epoką młodych. Tętni ona niespożytą siłą i energją, i jest niewątpliwie okresem, w którym koncentruje się siła twórcza wielu pokoleń. W młodości tej epoki tkwi też przyczyna radykalizmu społecznego, cechująca nasze czasy. Pojęcie bowiem młodości jest z radykalizmem mocno związane. Tylko młody i niezepsuty życiowo element będzie żywo reagował na wszelkie zło i dążył do natychmiastowej naprawy, a więc będzie usiłował postępować radykalnie.

Jan Rembieliński

O powrót Szopena

Koncert Michałowskiego dnia 17 b. m. w osiemdziesiątą piątą rocznicę śmierci Szopena*)—ponownie przypomniał Warszawie, że twórca „Sonaty b-moll" dotąd jeszcze, po osiemdziesięciu pięciu latach, spoczywa pogrzebany w obcej ziemi. Wprawdzie ziemia to przyjazna, gościnna: francuska. Ale czy może to nas zwolnić z obowiązku powrócenia kości szopenowskich — ojczyźnie?

Bynajmniej nie chodzi w tym wypadku o małostkowe raczej zadowolenie próżności narodowej — próżności pobudzonej blaskiem i chwałą wielkiego w świecie całym imienia. Wszak nikomu nie postanie w głowie myśl sprowadzania do Polski zwłok Marji Curie czy Józefa Conrada, którzy — chociaż z narodowości Polacy — jednak zżyli się ze środowiskiem cudzoziemskiem, w niem znaleźli szczęście rodzinne, sławę, pole działania. Ale z Szopenem rzecz przedstawia się zupełnie inaczej.

To były czasy, kiedy — według wyrażenia mickiewiczo[illegible]go — cały naród znalazł się na emigracji, w pielgrzymstwie, i w tym „narodzie na wygnaniu", w samem jego centrum, żył Szopen — wyraziciel jego cierpień, tęsknoty, nadziei. Tam wówczas — można rzec — przeniósł się był ośrodek świadomości narodowej, stamtąd, zdaleka promieniował na kraj dokonaną na tułaczce pracą wewnętrzną ducha. Pięknie mówił o tem Paderewski na uroczystości, w stulecie urodzin Szopena, we Lwowie (23 października 1910 r.):

„Zabraniano nam wszystkiego! mowy ojców, wiary przodków, czci dla świętych przeszłości pamiątek, strojów, obyczajów, pieśni narodowych... Zabraniano nam Słowackiego, Krasińskiego, Mickiewicza. Nie zabroniono nam tylko Szopena. A jednak w Szopenie tkwi wszystko, czego nam wzbraniano: barwne kontusze, pasy złotem lite, posępne czamarki, krakowskie rogatywki, szlacheckich brzęk szabel, naszych kos chłopskich połyski, jęk piersi zranionej, bunt spętanego ducha, krzyże cmentarne, przydrożne wiejskie kościołki, modlitwy serc stroskanych, niewoli ból, wolności żal, tyranów przekleństwo i zwycięstwa radosna pieśń... Wszak on był i tym przemytnikiem, co w zwitkach nut niewinnych, rodakom po kresach rozsianym, rozwoził zakazaną polskość; wszak on był i tym kapłanem, co nas rozproszonych w święty Ojczyzny zaopatrywał sakrament..."

Dlatego też sprowadzenie zwłok Szopena do Polski jest potrzebą serca, nie propagandy. Nie o pompę uroczystą tu chodzi, nie o manifestowanie czegokolwiek... I cóż zresztą, właściwie, mielibyśmy taką manifestacja osiągnąć? Czy potwierdzić, że Szopen jest nasz? — wszak nikt mu polskości nie zaprzecza. Czy przypomnieć, czem jest jego twórczość dla narodu? — wszak pamiętamy... Chodzi o rzecz mniej szumną, ale ważniejszą: o to poprostu tylko, ażeby Polak, w swoim kraju, mógł klęknąwszy przy grobie Szopena, odmówić „Wieczny odpoczynek..."

I z tego względu sprawa ta obchodzi całą Polskę, nietylko świat muzyczny, który zresztą — na łamach czasopism fachowych — oddawna już w tej kwestji głos zabierał. (Przed paru laty muzykolog francuski, p. Edward Ganche, prezes „Société Fréderic Chopin" w Paryżu, ogłosił artykuł, domagający się przeniesienia zwłok Szopena na Wawel). Dlatego właśnie ośmielam się wypowiadać publicznie na ten temat, bo — jak ów, rozprawiający o genjuszu szopenowskim, Konstanty w „Promethidionie" Norwida:

„...chociaż małe mam wyobrażenie
O sztuce — przecież wiem, co jest [muzyka...
Jeśli mi serce bierze i odmyka,
Jak ktoś, do domu wchodzący własnego..."

Tenże Norwid, w tymże „Promethidionie" przepowiedział, iż „w Polsce — od grobu Fryderyka rozwinie się sztuka, jako powoju wieniec, przez pojęcia nieco sumienniejsze o *formie życia*, to jest, o kierunku pięknego, i o *treści życia*, to jest o kierunku dobra i prawdy..."

Niech więc ten grób — będzie na polskiej ziemi!...

*) Polska pisownia nazwiska Chopin (Szopen) jest pisownią autora artykułu. Na łamach „ABC" używamy zazwyczaj pisowni oryginalnej, jakiej używał za życia sam Chopin.

Stanisław Miłaszewski

Francuski teatr romantyczny

Cechą główną romantyzmu jest wybujała uczuciowość. Rozlewny liryzm miłości, przeważnie nieszczęśliwej — miłości, rodzącej nienawiść do ciemiężycieli — oto najczęstszy temat w romantyzmie. Miłość i nienawiść, te dwa bieguny uczuciowości ludzkiej, miotają bohaterami romantycznymi, jużto wiodąc ich do zbrodni, jużto — przez rezygnację nadludzką — do świętości.

Człowiek u romantyków bywa częściej szatanem, albo aniołem, niż człowiekiem. Stąd usterki wobec prawdy psychologicznej i wadliwa psycho-anatomja.

Miłość i jej tragiczne perypetje wiodą myśl ludzką do zagadki bytu. Krańcowy indywidualista romantyczny wgłębia się w podstawy życia powszechnego, aby w rozwiązaniu wszystkiego — rozwiązać również tajniki własnego „ja".

Drugą zatem cechą romantyzmu jest dreszcz metafizyczny, który daje o sobie znać nawet w najgwałtowniejszych, prawie z bestjalstwem już graniczących, wybuchach zemsty, rozpaczy albo pożądania.

Ten dreszcz metafizyczny wyodrębnia dramat romantyczny od melodramatu, który lubuje się także w wybujałości uczuć, ale wyłącznie dla efektu scenicznego, dla targania grubemi nerwami motłochu.

To tchnienie metafizyczne pomogło bardzo romantyzmowi do zwycięstwa. W czasach jego rozwoju dojrzewały w warstwach oświeconych Francji pierwsze pokolenia, wychowane niereligijnie, w zasadach zaszczepionych przez Wielką Rewolucję.

Ludzie tego pokolenia, nie wdrożeni za młodu do religijnej karności duchowej, nie potrafili rozgraniczać przejawów ducha i ciała. Nagromadzenie potężne i pomieszanie bezładne tych przejawów w romantyzmie, dogadzało nastrojowi ludzi ówczesnych i nawiązywało mocne węzły pomiędzy życiem w połowie wieku XIX a literaturą.

G. Lanson tak określa przyczyny tego zjawiska: „Religja dawniej drenowała, kanalizowała, w życiu i w literaturze, dziedzinę wzruszeń i myśli metafizycznych. Kiedy zaś — wskutek postępu filozofji materjalistycznej — religja przestała spełniać to zadanie w wyższych warstwach narodu, wówczas wszystkie uczucia, które religja zaspakajała swojemi praktykami i swą odrębną literaturą, — wszystkie te uczucia, pozbawione regularnego ujścia, wtargnęły w życie powszednie i w literaturę świecką. Klasyk troszczył się o nieśmiertelność w kościele, gdy słuchał kazania, albo je wypowiadał; romantyk wniósł tę troskę do wszelkich czynności życia powszedniego, zmniejszając przez to swą zdolność do czynu."

Romantyzm francuski miał przodków bardzo różnorodnych, jego drzewo genealogiczne korzeniami dotyka dantejskiej Boskiej Komedji i wieków średnich. Rosochate konary mają zasięg szeroki: od trubadurów i Szekspira do Rousseau, Byrona, Göthego i Schillera. Osobno trzeba wymienić Biblję, z którą Wiktor Hugo prawie się nie rozstawał. Tematy z Biblji czerpali też oburącz Alfred de Vigny i Lamartine.

Rzecz charakterystyczna, że romantyzm, będący bądźcobądź wielką rewolucją literacką, wzniósł swoje godła powstańcze właśnie za restauracji Burbonów i częściowego powrotu ancien-regime'u w polityce.

Romantyzm w walce z prawidłami klasycznemi szeroko demokratyzuje sztukę, zaciera konwencjonalny polor, szuka kontaktu z tłumem. Wszystko pcha romantyzm ku najszerszej mównicy demokratycznej: ku teatrowi. Teatr, tę najtęższą redutę klasycyzmu, zdobyto szturmem dnia 25 lutego 1830 roku w pamiętnej bitwie o „Hernaniego" Wiktora Hugo.

Położenie przyszłych zwycięzców było spoczątku beznadziejne. Będąca pod wpływami klasyków cenzura tylko dlatego wpuściła „Hernaniego" na scenę, że spodziewano się sromotnego upadku tego „barbarzyństwa". Zza kulis szły niepokojące pogłoski o wzburzeniu aktorów przeciw nowatorom. A najgłośniejsza artystka, panna Mars, wręcz wykreśliła ze swej roli zwroty zanadto romantyczne i z całym zawodowym — jakże nieśmiertelnym! — tupetem dała Wiktorowi Hugo lekcję francuszczyzny.

Kohortom romantycznym, z kwaterą główną na szczycie Paradyzu, hetmanił Teofil Gautier, cyzelator mistrzowskich wierszy, kunsztownych jak kamee, a zimnych, jak emalje. Swym legendarnym beretem, będącym dla klasyków żagwią podpalacza, Gautier dawał sygnały wybuchom entuzjazmu, któremu wreszcie uległa i autentyczna publiczność. O północy bitwa została wygrana: wyuzdany z regularnych prawideł dramat zatriumfował nad prawidłową tragedją pseudoklasyczną.

Trzy główne sceny Paryża: Dom Moliera, Odeon i Porte St. Martin, dzięki romantyzmowi stały się katedrami historji francuskiej. Było bowiem ambicją romantyków odtwarzać dzieje Francji w dramacie neoszekspirowskim.

Mając do czynienia z publicznością, nieobeznaną z pamiętnikarstwem historycznem, mógł romantyzm olśniewać ją bogactwem szczegółów z życia pokoleń minionych, mógł wskrzeszać strupieszałą przeszłość w rumieńcach żywej krwi, zaczerpniętej z memuarów. Z prawdą dziejową liczyli się romantycy bardzo luźno: naginali ją do swoich celów bezceremonjalnie i pożyczali z niej tylko to, co dogadzało ich poglądom. Zapatrzeni w Szekspira, szli mimowoli raczej za Byronem. Główni bohaterowie ich dramatów wywodzą się bowiem w prostej linji od Lary, Korsarza i Giaura. Są to szlachetni bastardzi, genjalne podrzutki, pokrzywdzeni wygnańcy, o sercach zdolnych kochać za miljony, ale wszyscy najczęściej zmuszeni są do szkodzenia bliźnim wskutek tragicznych błędów przeznaczenia. Nadomiar wszyscy są w gruncie rzeczy jednym i tym samym Hernanim...

Stara pseudoklasyczna tragedja w stylu Woltera przekazała potajemnie swemu buntowniczemu następcy wiele własnych chwytów i wiele sztuczności. Od melodramatu również zapożyczył romantyzm (na wieczne nieoddanie!) tajemne przejścia, maski, przebrania i cały arsenał trucizn oraz sztyletów. Słowem to wszystko, co wcześniej jeszcze przejęto z hiszpańskiego „Romancero" i od hiszpańskich dramaturgów, z Calderonem na czele.

Ulubionym chwytem kompozycyjnym Wiktora Hugo było pomieszczanie bohatera dramatu na najniższym szczeblu drabiny społecznej, przy obdarzeniu go jednocześnie najwyższemi zaletami ducha i ciała. Krytyka dzisiejsza zarzuca mistrzowi romantyków, że dramaty budował na intrydze farsowej. W „Ruy Blas'ie", naprzykład, odtrącony magnat-zalotnik każe swojemu lokajowi rozkochać kobietę, która go śmiała odtrącić. Lokaj, wcielenie wszystkich zalet, zwierciadło rycerskiego honoru, spełnia w tej sztuce jeszcze inną misję, mianowicie symbolizuje lud.

Romantyzm miał pasję zamykania wszystkiego w symbole: uwiedziona przez lokaja królowa w „Ruy Blas'ie" reprezentowała — dodatkowo — prócz królewskości, jeszcze i wieczystą kobiecość...

Obciążone tak wieloma zadaniami postacie dramatów romantycznych nie mogły znaleźć pełnego wyrazu na scenie i wymagały nieustannych komentarzy. Komentarzami temi Hugo sypał jak z rękawa, w imię wolności twórczej, naczelnego hasła romantyzmu.

W najwyższem napięciu akcji scenicznej przerywa on bez ceremonji jej tok, ilekroć chce rzucić słuchaczom snop zdrowych myśli i wzniosłych wskazówek, poczem dopiero wszystko toczy się dalej, ku ostatecznej katastrofie.

W nadmiarze historyczności i symboliki filozoficznej zacierała się często prawda psychologiczna; postacie stawały się papierem, którego szelest przebijał nawet spod jędrnych lokucyj, zaczerpniętych z żywego języka. I znowu wyczuwało się pod zewnętrznym przepychem romantyzmu chuderlawy szkielet tragedji woltерowskiej, gdzie namiętności służą za pretekst do tyrad, a pseudo-egzotyczni Turcy i Chińczycy różnią się tylko kostjumami.

Dramatowi romantycznemu zapewnił wartość nieprzemijającą głównie, jeżeli nie jedynie, wiersz. Potęga umuzycznionego rytmem i rymem słowa kazała tłumom zasłuchiwać się w mistrzowsko wydobyty dźwięk i zapominać o usterkach budowy dramatycznej. Stępiały i zbanalizowany w ciasnych regułach wiersz klasyczny odzyskał u romantyków całą swoją świeżość. Pojęli oni wartość dźwiękową słów, dobierali wyrazy o brzmieniu ostrem, lub pieściwem, stosownie do odpowiednich stanów uczuciowych; tworzyli mowę, która narzucała aktorom modulacje głosowe wzwyż i wzniż wielkiej skali uczuć.

Wypracowawszy pełnobrzmiący dźwięk wiersza, romantycy odrodzili rymotwórstwo, wzbogacając je nowemi kombinacjami tonów. W gruncie rzeczy zachowali wiele form dawnych, ale formę Rasyna uczynili bardziej giętką przez pomysłowe przesuwanie, lub zacieranie cezury i wyłamanie się ze zbytniej symetryczności.

Zwłaszcza Hugo i Gautier dokonali w tej dziedzinie bardzo wiele. Ini mistrze romantyzmu, zamiast reform technicznych, odnowili wiersz francuski od wewnątrz — przez bezpośredniość i szczerość. Znajdujemy te cechy przedewszystkiem u Lamartina, który posiada w swojej twórczości zwroty pokrewne naszemu Kochanowskiemu. Gdy w poemacie „Osamotnienie" mówi Lamartine:

„Brak tej jednej istoty wyludnił świat cały..." —

komuż tu nie przypomni się słynny ustęp z trenu: „Pełno nas, a jakoby nikogo nie było"...

Obok rozrzutnych w obrazowaniu, geście i słowie wizyj historycznych Wiktora Hugo, całkiem odrębny rodzaj sztuki przedstawia „Chatterton" Alfreda de Vigny, dzieło surowe, skupione, gdzie pesymizm przeradza się w stoicyzm. Jest to historja człowieka, który rano napisał list i czeka do wieczora na odpowiedź, a po jej przyjściu popełnia samobójstwo.

Mamy tu zatem dramat bez intrygi, z akcją niemal wyłącznie psychiczną. „Chatterton" jest symbolem poety, istoty uduchowionej, a wydanej na pastwę społeczeństwa materjalistycznego, które przedstawione zostało w odrażających typach mieszczaństwa, zaprzedanego zwycięskiej wówczas dynastji Orleańskiej dla zysku.

Najobfitszej jednakże strawy dostarczał publiczności w latach triumfu romantyzmu Aleksander Dumas, autor 25 tomów sztuk teatralnych, cyfry znikomej wobec 257 tomów jego powieści.

Dumas, podobnie jak Hugo, obierał tematy historyczne, wplatając w akcję swoje własne dygresje. Kazał jednak swym bohaterom więcej działać, niż mówić, zaś intrygi krzyżują się u niego z szybkością błyskawic. O psychologję, ani o „dreszcz metafizyczny" ten romantyk nie dbał. Przedstawiał ludzi o namiętnościach pierwotnych, zrozumiałych dla tłumu. Zabójstwa stłaczał gromadami, a zbrodniom kazał odbywać dystansowe wyścigi. Kochankowie u niego zarzynają kochanki, zdradzone żony nasadzają zbirów na mężów, potomkowie hyclów i katów, rozparci w parlamencie i w rządzie, biorą rozwody w taki sposób, że niewygodne żony poprostu z okien strącają na bruk.

Oto pokrótce spis sytuacyj, uprzywilejowanych przez Dumasa. Ogłuszał on widownię rozmachem rzeźniczym i miał żywotność niemal bestjalską, a jednak — przeżył się i on. Spośród romantyków miejsce w teatrze zachował natomiast Kazimierz Delavigne, zapewne dzięki temu, że jego „Ludwik XI" posiada skondensowane cechy twórczości, zarówno Wiktora Hugo, jak Dumasa. Pierwszego przypomina formą wiersza, drugiego — rozmachem akcji. „Ludwik XI", to pierwszorzędne dzieło poety drugorzędnego, które przeżyło o lat 75 swoich sławnych rywali i najwytrwalej reprezentuje romantyzm w teatrze.

Oprócz tego utrzymał się w repertuarze tylko najbardziej wiotki z romantyków — Musset. On, który podczas triumfów Wiktora Hugo musiał tylko d r u k o w a ć swoje komedje, źle przyjęte w teatrze... Musset jest wolny zupełnie od balastu symbolów. Wyraża jedynie i wyłącznie — siebie. Jest bohaterem wszystkich swoich sztuk, ucharakteryzowany kolejno na Fortunia, Perdicana, Lorenzacia i Fantasia. Posiada dwie jednakowo prawdziwe twarze: twarz libertyńską lekkoducha i twarz bolesną ekstatycznego marzyciela-poety.

Romantyzm—summa summarum—oddał poezji i sztuce dramatycznej usługi nieocenione: rozluźnił skostniałe prawidła, zniósł rutynę, przeciwstawiwszy jej coprawda — chaos, lecz chaos zdolny rodzić nowe światy.

Eugenjusz Byrski

Architektura cementu i żelaza

I.

Każdy niemal odnajdzie z łatwością w swoich wspomnieniach ową niemiłą chwilę, gdy — siedząc na dentystycznym fotelu — doznawał, przynajmniej raz w życiu, bolesnego dotknięcia igły stalowej i oczekiwał tęsknie chwili otwarcia pudełka z tajemniczym napisem: „De Trey's Zement". Niewiele ten biały proszek, pracowicie układany przez dentystę w wyborowanym zębie, przypomina ów szaro zielony materjał, ładowany w worki, wznoszące się stertami na budowach, opatrzone dziwnie brzmiącemi nazwami: „Wysoka", „Firley", „Goleszów"...

Cement...

Do chwili wynalezienia cementu rolę wiązadła grało, jak wiadomo, w budownictwie ceglanem wapno, a nawet — dawniej — glina. Układając cegły jedna na drugą, przekładano je zaprawą wapienną, uzyskując tym sposobem mur, który — po stężeniu zaprawy — przedstawiał sobą zespół, wytrzymały na ciśnienie stropów i ścian i pozwalał, przy odpowiednich jego grubościach, wznosić z niego kilkopiętrowe budowle.

Z chwilą wynalezienia cementu w końcu osiemnastego wieku sytuacja ulega radykalnej zmianie. Wynalazca cementu rzymskiego, Anglik, nazwiskiem Parker, otrzymał go w postaci proszku, wypalając kawałki margli nad brzegami Tamizy. Proszek ów, zarobiony wodą i zmieszany z piaskiem, po pewnym czasie tężeje i wiąże ściśle z sobą poszczególne cegły, tworząc mur nośny.

Jak dalece rewolucyjny okazał się ów wynalazek, wskazuje fakt, że w murze z cegieł, związanych zaprawą cementową, partje stężonej (sztywnej) zaprawy mają większą wytrzymałość niż cegła.

Wynalazek cementu portlandzkiego, dzisiaj powszechnego w użyciu, przypisują również Anglikowi, J. Aspdinowi, mularzowi z zawodu. Równo lat temu 110 patentuje on swój wynalazek (1824). Z tą chwilą budownictwo wkracza na nowe tory. Mury, wznoszone na zaprawie cementowej, mające dwukrotnie większą wytrzymałość, niż na zaprawie wapiennej, osiągają znaczną wysokość.

Wreszcie ten zwycięski pochód cementu zostaje uwieńczony nowym sukcesem: Francuz Monier w roku 1861 dokonywa wynalazku, który zmienia oblicze budownictwa współczesnego, nadając mu nowy charakter. Wynalazkiem tym jest ż e l b e t (żelazobeton).

II.

Cóż to jest żelbet? Człowiekowi, nawykłemu do obcowania z materjałem choćby takim jak drzewo, trudno jest dać odpowiedź zwięzłą i jasną na to pytanie. Trudność ta polega na tem, że do chwili wynalezienia cementu mieliśmy przeważnie do czynienia z konstrukcjami, opartemi na materjale jednorodnym, t. zn. takim, którego przekrój miał wszędzie jednakową wytrzymałość. Takim materjałem np. jest drzewo. Jeśli wyobrazimy sobie jakiś element nośny najprostszy, np. belkę, to nie w każdym jej przekroju materjał będzie wyzyskany dostatecznie: przekrój jej jest — w przeważającej większości wypadków — jednakowy na całej jej długości i to taki, jaki zmuszeni jesteśmy dać w miejscu t. zw. niebezpiecznem (największy moment zginający). W pozostałych partjach belki przekrój jej mógłby być odpowiednio zmniejszony, — czyli w pewnej mierze belka jednorodna jest nieekonomiczna. To samo odnosi się do konstrukcyj bardziej złożonych.

Postulat ekonomji materjału w konstrukcji nośnej, jakkolwiek tylko do pewnych granic, rozwiązuje dopiero materjał kombinowany, który pozwala na stwarzanie w miejscach mniej narażonych na odpowiednie zmniejszenie materjału. Takim materjałem kombinowanym jest np. żelazobeton (żelbet), składający się z dwóch wątków: żelaza i betonu, lub — ściślej — betonu, uzbrojonego wkładkami żelaznemi, które są rozmieszczone według ilości i kierunku działania sił wewnętrznych konstrukcyj.

Samo przygotowanie konstrukcyj żelbetowych różni się zasadniczo od takich np. jak żelazo i drzewo. Naprzód stawia się formy drewniane, w które układa się żelazne pręty, przeważnie o przekroju okrągłym od 5 do 30 milimetrów, wiąże się je z sobą i zalewa masą plastyczną, uzyskaną ze zmieszania w odpowiednim stosunku cementu, piasku, żwiru i wody (beton). Masa ta po pewnym czasie tężeje, a po stwardnieniu stanowi materjał jednolity (monolit), choć niejednorodny i o znacznej wytrzymałości. Z biegiem lat — w warunkach pomyślnych — konstrukcje żelbetowe podwyższają jeszcze swoją wytrzymałość i ze względu na swoją niesłychaną oporność przy rozbiórce nie mogą być stosowane tam, gdzie jest mowa jedynie o budynkach prowizorycznych.

Zato żelazobeton jest wręcz nie do zastąpienia w konstrukcjach, wymagających formowania w bryłach niepryzmatycznych. Balkony, klatki schodowe o najbardziej fantastycznym rysunku, — mury oporowe, tunele, tamy i śluzy — wszystko to znajduje przeważnie swoją najbardziej celową realizację w żelbecie. Reprodukowane obok zdjęcia dadzą czytelnikowi pojęcie o niemal nieograniczonych możliwościach kształtowania tego wątku tam zwłaszcza, gdzie przed architektem stają do pokonania znaczniejsze trudności terenowe.

III.

W końcu ubiegłego wieku Niemcy nabywają patenty Moniera i przeprowadzają badania teoretyczne i laboratoryjne nad wytrzymałością nowej kombinacji materjałów.

Równocześnie Amerykanie podejmują analogiczne prace, w których wyniku staje w roku 1887 pierwszy most żelbetowy po tamtej stronie Atlantyku. Tym sposobem nowy system budownictwa zdobywa wkrótce sobie obie półkule. Wiek XX jest świadkiem niezwykle szerokiego zastosowania żelbetu w budynkach wszelkiego typu.

W ostatnich czasach można było zaobserwować pewien przełom w budownictwie żelbetowem, które — pod presją konieczności ekonomicznych — jako oparte na materjale ciężkim i stosunkowo kosztownym, zdawało się tracić swoje zdobyte ostatniemi laty pozycje na rzecz żelaza i stali. Jakoż w budynkach mieszkalnych o kilkudziesięciopiętrowej wysokości niesposób było propagatorom żelbetu obronić postulatu bezwzględnej jego stosowalności. Wypierają go tam stal i żelazo.

Teoretycy i badacze ruszają jednak ławą na odsiecz zagrożonym stanowiskom budownictwa żelbetowego. Dziś można mówić znowu o nowych, niezwykłych sukcesach tego trudnego do ujęcia rachunkiem systemu. Są niemi np. — efekt żmudnych badań teoretycznych i laboratoryjnych — sklepienia cienkościenne o parocentymetrowej grubości powłoki, nieprzenoszące niekiedy, przy kilkudziesięciometrowej rozpiętości sklepienia, grubości dwóch cali w zworniku.

W Polsce żelbet cieszył się dużą popularnością... wówczas, gdy zajmowano się praktycznie budownictwem. Dziś można mówić raczej o zajęciach w pracowniach uczonych, których nazwiska widnieją na kartach wielu znakomitych dzieł teoretycznych. Thullie, Paszkowski, Huber, Bryła, Kłoś, Kuryłło, Żenczykowski położyli niepospolite zasługi w pracy nad teorją żelbetu. Zwłaszcza dorobek naukowy pierwszego z nich, profesora Politechniki we Lwowie, pioniera ruchu naukowego u nas na tem polu, stanowi znakomitą pozycję w bilansie polskiej nauki o żelbecie.

W przyszłości, gdy będziemy mogli, wzorem zagranicy, przystąpić do zorganizowanej pracy w kraju nad inwestycjami pierwszej potrzeby, wówczas, zamiast wystaw o drewnianych, doraźnie kleconych stoiskach, pokażemy gościom Rzeczypospolitej zbiorniki retencyjne, ocembrowane brzegi kapryśnych ongi potoków górskich, tunele i mosty — stawiane w żelbecie. Będzie to trwały pomnik pracy polskiego żwirnika, któremu powodzie odebrały grosz, w pocie czoła zdobyty, — robotnika i producenta polskiego cementu, jednego z najlepszych w świecie, — fabrykanta i hutnika śląskiego, tworzącego w walcowniach zwały polskiego żelaza, eksportowanego zagranicę — i polskiego uczonego i inżyniera, zmuszonego dotychczas patrzeć bezczynnie na rozpętane żywioły, atakujące nieobronne pozycje naszego narodowego dobytku.

IV.

Ewolucja kształtu architektonicznego, zahamowana reakcyjnym chaosem dziewiętnastego wieku, odnalazła swój impet twórczy dopiero w czasach powojennych. Niewyżyte aspiracje formy monumentalnej rozpoczynają gorączkowe poszukiwania wątku, któryby pomógł odnaleźć drogę do nowego stylu, wyznaczył szlak niezaspokojonym dotąd pragnieniom oparcia się na jakiejś kardynalnej zasadzie konstrukcyjnej.

Potrzebom praktycznym odpowiadać mógł jedynie materjał o wysokiej wytrzymałości, jak np. żelazo. Możliwości kształtowania tego wątku naogół wszakże są dość ograniczone. Dopiero, gdy mgłę pierwszej ewolucyjnej fazy przebiła strzelista i lotna myśl twórcza Le Corbusiera, na drodze nowej koncepcji architektonicznej odnalazł się materjał zespolony, łączący w sobie przymioty kamienia i żelaza — żelazobeton. Możliwości formowania tego wątku, jako tworzonego drogą odlewu, są bez porównania rozleglejsze. Kolosalne masywy słupów i filarów, z trudem znoszących rozpierające je sklepienia, przechodzą w lekką, niemal wiotką smukłość kolumn żelbetowych o okrągłym przekroju, tak świetnie kontrastująca z pryzmatyczna regularnością fasad, okien i gzymsów.

Płyty jednooporowe, czyli zamocowane jednym końcem (t. zw. wsporniki) odnajdują swoje najbardziej celowe zastosowanie w balkonach mieszkań i teatrów, w dachach nad tarasami, peronami kolejowemi, tam więc, gdzie obecność filarów byłaby uciążliwa.

Dowolność kształtowania konstrukcji żelbetowej według powierzchni i linij krzywych, stanęła na usługach nowej koncepcji architektonicznej, szukającej swego wyrazu w kombinacji prostych brył i płaszczyzn. Zdeklarowana wola prostoty formalnej wybrała duże, gładkie powierzchnie i ściany, budowane na krzywiźnie o dużym promieniu.

W wielu wypadkach wszakże — żelbet, spełniając wolę konstrukcji pomocniczej, nie objawia swej obecności w budynku tak dobitnie. Po wypełnieniu szkieletu konstrukcyjnego (którym z równem powodzeniem mogłoby być np. żelazo), cegłą lub jakimkolwiek innym materjałem zastępczym, budynek taki może nie świadczyć niczem charakterystycznem o swej konstrukcji. W tym wypadku — rzecz jasna — rola formująca tego wątku jest zredukowana do minimum, jakkolwiek zupełne wyłączenie jej z procesu twórczego jest niemożliwe.

Cokolwiekby się tu jednak powiedziało o możliwościach materjału, jasne jest, że sam wątek, żelazo czy żelazo-beton, stylu współczesnej architektury nie stworzy. W wielu dziełach budownictwa europejskiego czasów ostatnich poczucie kształtu, celowy i racjonalny dobór środków materjalnych zbliża nas do pojęcia (dużej nieraz) poprawności technicznej.

O wypłynięciu wszakże na pełne morze świadomej woli artystycznej, twórczej koncepcji, władającej materjałem, a nie będącej jego sługą — mówić jest może nieco za wcześnie.

Forma i styl nie jest bowiem tylko wynikiem uzdolnień władania wątkiem, a na dnie sekretu twórczości architektonicznej tkwi coś więcej, niż technika operowania tworzywem materjalnem.

Obecnie żyjemy niewątpliwie w okresie ścierania się pewnych sił i pomysłów, których wypadkowa wyłoni kiedyś — być może — idee kierownicze, naczelne dogmaty sztuki współczesnej.

Proces fermentacji umysłowej, będącej nieuniknionem następstwem przełomu kulturalnego bowiem jeszcze do tej pory nie ustał.

Adolf Nowaczyński

Szkoda Barracci

Bratni hiszpański dziennik „ABC“ wychodził w najcięższych dniach rewolucji bez przerwy. W kolportażu i rozsyłaniu pomagała tak młodzież uniwersytecka, jak i dziatwa ze szkół. Toteż kiedy grzmiały armaty i grały karabiny maszynowe, kiedy rozwalano barykady, delożowano mieszkańców z domów, a przez kilkanaście godzin szalała wojna domowa i rzeź bratnia, narodowe, umiarkowane, patrjotyczne, kulturalne, ale twarde w tonie i stylu „ABC“ docierało do najdalszych przedmieść Madrytu i do najdalszych miasteczek Iberji, z któremi nie była zerwana komunikacja kolejowa.

Toteż musiało bratnie „ABC“ w Madrycie dać swoim czytelnikom także i jedną, bardzo niezwykłą, wiadomość. Oto podczas, gdy rebelja właśnie się przygotowywała, podczas gdy zjednoczeni anarchiści, socjaliści, komuniści, syndykaliści już wyciągali broń zamagazynowaną w „domach Marksa“ i w prywatnych mieszkaniach tak wodzów (Prieto), jak i pospolitych hersztów (Cabalerro), podczas gdy naftą sowiecką (sic!) już napełniano blaszanki, aby ją potem wylewać we wnętrza czterechsetletnich kościołów i katedr..., tuż nad granicą Portugalji w maleńkiem prastarem miasteczku Merida odbywał się piękny festiwal teatralny.

W Merida bywają z końcem września, a początkiem października wielkie targi końskie, na które zjeżdża się cała Estramadura i inne także. Styl, zdaje się, dawnych „kontraktów kijowskich“ ze szlagonerją w hotelach, z walkami byków, z ludowemi zabawami i festynami chłopskimi, z tangowaniem, opilstwem, a może i porubstwem, czyli rują (Ruy Blas).

Kilku młodych literatów z „Cafe Piombo“ w Madrycie postanowiło sobie te targi końskie i bycze boje uszlachetnić.

Od trzech lat istnieje w Hiszpanji taka Reduta, jak dawniej u nas Reduta - Osterwa. Nawet się pono na niej wzorowała. A trochę na teatralnych s t a g g i o n e w Salzburgu. Nawiasowo mówiąc conieco u nas zanadto się lekceważy dzieło, którego swego czasu dokonał Osterwa. W dalszej konsekwencji tego lekceważenia, czy zapomnienia, całkiem zabrakło i dla niego, jak i dla Solskiego właściwego miejsca w stolicy (r i g h t m a n i n r i g h t p l a c e) i zasłużony działacz i organizator teatralny deportowany został dożywotnio do Krakowa na synekurację i przedwczesny uwiąd w sławie i w chwale. A tymczasem, jeżeli już ta Redutowa karta dziejów teatru należy koniecznie do bezpowrotnej przeszłości, to nie powinna być „zaginionym światem“.

Na tle rozkwitu Reduty, jej objazdów duszpasterskich, jej promieniowania w dzikie pola, na tle jej klasztorkowej obyczajowości wewnętrznej d a ł b y s i ę s k o m p o n o w a ć n a j p i ę k n i e j s z y f i l m polski, splatający uroki pejzażowe z czarem misjonarskiego żywota, wysoce uszlachetnionej cyganerji aktorskiej, a byłoby w tem dość miejsca i dla tragicznych konfliktów i dla kapitalnej humorystyki, a szczypta romantyzmu teżby się znalazła. Te cymbały i bęcwały (mowa teraz o specjalistach branży ekranowej) rokrocznie wynajdują coraz to ordynarniejsze i kretyniczniejsze scenarjusze filmowe, nadal obgryzują ostatnie, wyciągnięte z trumien kości po gubernatorach i gradonaczalnikach carskosielsko - rosyjskich, a mimo tylu przy Reducie szwendających się kibiców i pentaków, nikt jeszcze nie wpadł na pomysł, aby z... „Księcia Niezłomnego“, zagranego ongi przez Bractwo Osterwie w Słowackim Krzemieńcu, zrobić niedużym kosztem najpiękniejszy dotychczas film polski. Bym był rządem, ćwierć miljona bez bólu prawa ręka wyasygnowałaby lewej ręce i z wiosną 1935 r. do roboty. Ale gadajże tu z Bebykami, jak do lampy, skoro ich wziął w monopol ten szam-pion polskich pechowców, gwiazdor wszelkich kompromitacyj, może chyba koń Trojański w Sanackiej Troi, w teatrze ż a d e n, do rymu Kaden, oczywiście nie Danny Kaden, ale Juljusz Bandrowski.

Nawias zamknąć.

Hiszpańska „Reduta“ zdecydowała tedy uszlachetnić tegoroczne kontrakty i targi końskie w kresowem miasteczku Merida. Są tam bowiem cudne ruiny, a raczej nie tyle ruiny, ile teatr, amfiteatr cokolwiek zrujnowany, bo liczy lat 1900 z przysypką. Wybudowali go wraz z wielkim akwaduktem jeszcze za czasów Cezara Augustá, ale z materjału tak nie demokrackiego i tak solidnego, że jeszcze dzisiaj wszystko tak stoi na swojem miejscu, jak stało, tylko się „ku starości nieco“ pozwalało. „Grać w tem można“, jak mawiał lat temu dziesięć Osterwa, znalazłszy się w starej magnackiej oborze, z której przed wieczorem wyprowadzano c z w o r o n o ż n e bydło. Taksamo pomyśleli sobie w „Cafe Piombo“ pewnego dnia don Cipriano Rivas - Cheriff, don Garcia Losca (poeta) i seniora Margerita Xirgu, najmłodsza, a już największa tragiczka scen hiszpańskich. Przez poprzednie lata grywali i zgrywali się już wszędzie. Nie było takiej zapadłej Barki czy Manchy, do którejby nie zajechał wielki wóz Tespisa don Cipriana. Tak samo, jak Osterwacy: to kolejami, to Suizami z kąta w kąt, z dziury w dziurę i Smoregonia i Paccanora.

„Taki los wypadł nam, że dziś tu, jutro tam“.

Jako te „Pajace“ Mascagniego, jako ta Contrabanda Bizeta, jako ten z prześlicznego filmu statek z aktorami na rzece Missisippi...

Subwencjonował tę propagandę żywego, gorącego słowa hiszpańskiego rząd lewicowy. Robił sobie reklamę patronowaniem i faworyzowaniem „La Barracca“, t. j. Federacji Etudiantów (studentów), artystów, don F. L. de Los Rios, dziki rozmierzwiony pyskaty radykał, mason, ambitny marran i massson, bałwan, a tak w karjerowiczostwie zajadły, że kiedy go wreszcie ze stolca ministra oświaty usunięto, a potem wogóle z Jelity suwerynów (ze suterynów) przepędzono, popadł z wściekłości aż w komunisty, no, i teraz „profesor“ najprawdopodobniej już siedzi w „carcer modele“, pijąc ośle mleko i zagryza czosnkiem. Czort z nim!

Niestety, tą protekcją czerwonego furjata i typowego intelektualnego Arysparcha (Freud, Proust, Einstein, Vicki Baum, Asch, Basch, Lecache, Vandervelde, Bronstein, Bernstein, Pitigrilli, Magnus Hirschfeld) obciążona też jest w dużej mierze i „La Barracca“. By móc działać, jeździć, grać, „pokazywać“ i mieć na to rządową subwencję, musiała trupa amatorów, ale wysoce rutynowanych i wykształconych, asymilować się nieco czerwoniasto, ba nawet komunistycznie. Rzecz prosta, że w konsekwencji i doboru repertuarowego i stylu reżyserskiego (Jessner, Meyerhold, Gremier) hiszpańska prasa umiarkowana, burżujska, chrześcijańska, moralna i normalna od „ABC“ począwszy musiała wziąć się coraz ostrzej do „Barracca“ i rżnąć jej „poczynania“, a czasem poronienia, co się wlezie. W państwie, w narodzie o najwspanialszej, najstarszej monumentalnej tradycji kultury teatralnej, tam, gdzie się rozwijała potężna cyklopia twórczości Brata Lope de Vegi, księdza Calderona, przeora Tisso de Molina, w kraju, gdzie są place i ulice Zorilli i ulice i place Echegaraya nie może być na długo zbyt wiele miejsca dla barbaryjnych i europejskich eksperymendatorów, reformatołów zbyt cyrkowych, czy rewjowych, dla dybuków habimaniaków, pyskatorów... Toteż i „La Barracca“ dość szybko opamiętała się i oprzytomniała. Co mogło się podobać w Czerniowcach, w Łodzi, w Tel - Awiw i w Tel - Będzin nie mogła dłużej tolerować Sewilla lub Granada. Zmienili się z biegiem trzech lat i reduciarze z „Barracca“.

Teraz w Merida w Amfiteatrze starożytnym pięciotysięcznej publice grano już rzeczy całkiem nowe, ale równocześnie bardzo stare: „Medeę“ Seneci i „Elektrę“... Hoffmansthala.

Pierwszy dramat przerobił i unowocześnił nie kto inny, jak sam Unamuno.

Obchodził on niedawno swoje siedemdziesięciolecie w całkowitej samotności w Salamance, gdzie jest profesorem uniwersytetu. Co ten wielki pisarz i wielki charakter, „ojciec republiki“ musiał wycierpieć w ostatnich czasach, to można sobie wyimaginować, znając jego całą działalność pisarską i polityczną. Dość powiedzieć, że Unamuno przedewszystkiem był z pochodzenia dzielnicowego Baskiem i ostatnio musiał dożyć tego, że jego umiłowani „krajanie“ (sąsiadują z Galicją, więc „krajanie“), dostawszy stadowego porażenia mózgowego (temperatura była tropikalna), chcieli i wreszcie ogłosili się też góralską republiką niezależną, którą proklamowano w tamtejszym... Poroninie... (Berneo), wywieszając przytem czerwone sowieckie sztandary... Unamuno dostawszy definitywnego obrzydzenia i odrazy do wszystkich swoich przyjaciół politycznych, zerwawszy z nimi stosunki, został przez rozwścieklonę bandę radikoków i radek-ałów ogłoszony (napiętnowany), jako „wróg republiki“. Mafja awanturników, karjerowiczów, ekstremistów i wprost rzezimiechów w swoich wrzaskliwych brukowych szmatach (Libertad, Liberal, Luz, Voz etc.) odsądzała swego rodzica ideowego od czci i wiary i nie było takich kalumnij, jakiemiby nie obsypywano sędziwego myśliciela i genjalnego stylistę.

Nowy Don Kiszot czuć się musiał, jak stary król Lear, lub jak Noe, obrzucany obelgami przez rodzone córy, to jest pisma, które on sam pozakładał. Toteż nie długo wytrwał Unamuno w godności prezesa politycznego — demokratycznego klubu „Ateneum“. Zrzekł się i tego skromnego dostojeństwa, strzepnął kurz ze sandałów, splunął i wyjechał do Salamanci, by się już nigdy nie pokazać w Madrycie, opanowanym przez moralną hołotę, której on w wydobyciu się na wierzch i w zrobieniu zawrotnych karjer głównie dopomógł. Przestał też pisać i wypowiadać się, zresztą przestali wogóle wszyscy „klerkowie“ i intelektualiści hiszpańscy, przerażeni i osłupiali tem rozpanoszeniem i rozbestwieniem najnikczemniejszych instynktów i najgłupszych elementów, które tratując wokół kopytami rozsiadły się na wszystkich grzędach.

Nie dał też się uprosić i nakłonić zgorzkniały, przepełniony bólem starzec na przyjazd do Meridy, aby asystować owacjom, jakie pięciotysięczny tłum widzów zgotował jego „Medei“. Bał się zetknięcia z orędownikami podpalaczy, bandytów, morderców i Trockistów... Zamknął się szczelnie, aby doń nie dochodziły nawet najdalsze echa bratobójczej rzezi i rzeźni.

Oby jeszcze przynajmniej dożył autor II-go Don Kiszota tego, że szereg koniecznych reform i przemian racjonalnych, jakich nie mieli czasu, ochoty i energji przeprowadzić lewicowi plebejscy warcholi (Kiereńczycy), przeprowadzili inni, młodzi tradycjonaliści, ludowcy z Gil Roblesem na czele, w pierwszym rzędzie, oczywiście, reformę rolną, w drugim reformę szkolnictwa w dawnym duchu i sensie!

W każdym razie pięknie sobie poczęła „La Barracca“, dając Medeę (Seneci) Unamuna. Hołd to niejako dla dostojnego starszego pana, który nie zawahał się publicznie dezaprobować gospodarki „etosu“ swoich własnych ongi elewów i pupilów. „La Barracca“ będzie teraz miała ciężkie przejścia i przeżycia. Oby szybko zerwała ze siebie palącą, czerwoną koszulę Dejaniry i zawróciła do tradycyj dramatycznych, ale nie wielkich... pogańskich... Greków, tylko wielkich chrześcijańskich Hiszpanów: przeora di Molina, braciszka Lope de Vegi i do księdza Calderona. Sceniczna twórczość na tym półwyspie albo może być Calderonowska z ducha, albo żadna. Nowe talenty pisarskie, dramatyczne, zdają się już wchodzić na patetyczne drogi misterjów i a u t o s s a c r a m e n t a l e s. Zgodnie z erą wulkaniczną, czy socjalną, przez jaką przechodzi w wielkiej mierze także Hiszpanja, konieczne i nieodzowne dla tych pisarzy byłoby też przejęcie się pełne ideologją i programem znanych dwóch ważnych encyklik, bez wpadania aż w rewolucyjny chrześcijański komunizm... księdza Juana Garcia Morales.

„ABC“ w Warszawie zwraca się do „ABC“ w Madrycie, aby wpłynęło na uratowanie „La Barracci“ hiszpańskiej; skoro już niema podróżującej po Polsce Reduty Osterwy, niech będzie przynajmniej tam w cudem uratowanej i ocalałej Iberji.

Zdzisław Broncel

W „Gospodzie poetów“

Bojka o ludziach zakochanych

„Dudni woda, dudni, w cembrowanej studni — zakochać się łatwo, a odkochać trudniej“.

Musieli murarze śpiewać tę piosenkę, budując w Głębcach na Śląsku Cieszyńskim biały domek z czerwonym dachem. Stawiali go nie dla Ślązaczki, ale właśnie dla takiej jednej z tych, co zakochali się w Śląsku. I ani rusz odkochać się nie mogą. Nawet im życia nie starcza na tę miłość. Nawet po śmierci chcą, żeby tu trwał ich ślad.

Bo właścicielka domu w Głębcach, Zofja Degen - Slósarska, dziś gospodyni i pani na „Zdroju“ (tak się dom nazywa) myśli w przyszłości zrobić fundację. I o czyją to pamięć najwięcej zabiega? Komu oddaje zacisze w Głębcach? Poetom! Śląskim poetom!

Przed domem wytryska źródło, ujęte w ocembrzynę, a nad niem płaski kamień dźwiga napis, wybrany ze „Śląska“ Morcinka:

„Woda jest zimna i przynosząca zdrowie, — bo gdy ją pijesz, myślisz, że płynne słońce pijesz“.

Tryska więc źródło, słoneczne źródło bijące jakby z samej by miłowania, dom nazywa się „Zdrojem“ i każdego, kto go nawiedzi, częstuje chlebem radości i solą zdrowia.

Pani Degen - Ślósarska, matkująca w „Zdroju“ jest dyrektorką gimnazjum we Włocławku. Gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie Włocławek, a gdzie Śląsk — a przecież właśnie tu wystawiła dom. Pegazową gospodę. Jakby czuła, że najlepsze jest miejsce na schronisko dla poetyckich powsinogów, że ich szlak będzie ciągnął przez Śląsk. Kto poeta, ten na Śląsk. W świat fabryk i kopalń i w zielony świat cieszyńskiego Beskidu.

Jeden za drugim, spoczątku ostrożnie, potem śmielej zlatywały się ptaki. Zawitał Sztaudynger, Kuglin, przyjaciel domu — Gustaw Morcinek z siostrą, panną Tereską, fotografowie Jejknerowie, malarz Kidoń, dalej Ligoń, Żelechowski, Alfred Jesionowski, Zegadłowicz, Wojciech Bąkowski — poeta poznański, ksiądz Grim, piewca beskidzkiego krajobrazu entuzjasta starych, górskich obyczajów. Od słowa do słowa, przezwano „Zdrój“ — „Gospodą poetów“.

Skoro zaś „Gospoda“, skoro kąt swój, własny — zaczęto znosić prezenty. Więc przedewszystkiem hojny Jan Kuglin. Ten zapakował wielką księgę, oprawną w świńską skórę i przyniósł, żeby była księgą gości. Następnie dał początek bibljotece, ofiarowując 44 tomy w artystycznych oprawach, z exlibrisem, pokazującym „Gospodę poetów“. Jest w tem „Historja o świątku“ Zegadłowicza, niemal wszystkie tomy wydane dotąd „Bibljoteki studwudziestu“, jest egzemplarz „Białego Słonia“ z autografem Janty - Połczyńskiego, jest przepiękna edycja „Pieśni wieczornej“ Kasprowicza.

I od przykładu Kuglina zrobiło się tak — że poeta za gościnę musi płacić własnem sercem. A że serce poety jest w wierszach, w książkach, więc kto odwiedzi „Gospodę“ ten zostawia wszystkie swoje dzieła. Wzbogaca się więc księgozbiór utworami Morcinka, Marji Dąbrowskiej, Sztaudyngera, Bąkowskiego, Grima, Żelechowskiego, Zegadłowicza, Kossak - Szczuckiej.

Rosną księgi na półkach, rośnie spis w księdze gości, coraz więcej ludzi poznaje drogę do Głębiec.

Gdzie się z kimś spotkać na Śląsku? Ano, w „Gospodzie“! Tu się zbierają zjazdy, tu pociągiem gonią na niedzielną gawędę rozrzuceni po całym Śląsku przyjaciele.

Od Pszczyny, od Jesionowskiego — dwa skoki do Głębiec, od Skoczowa — czyli od Morcinka i Kossak - Szczuckiej — jeden skok, I nawet z Warszawy nie musi być daleko, jeśli Dąbrowska przyjechała na poświęcenie domu.

Byłaż to uroczystość. Niewiadomo, czy jej dorówna, a czy może ją przewyższy Boże Narodzenie. Bo na święta w Głębcach tłum. Literacka brać zbiera się na opłatek. Jeżdżą nawet Ślązacy po Polsce i zapraszają: No, przyjeżdżojcie! Ale, nie mówcie? Jakże — takie kochane chłopy będą, przyjedźcie, nie turbujcie się — wszystko cudnie będzie!

Poświęcono więc latem „Gospodę“. O ile kiedyś „Gospoda poetów“ przestanie istnieć, bibljoteka i zbiory pójdą do Muzeum Cieszyńskiego; póki zaś stanie gospodarzy i gości, „Gospoda“ stoi otworem — znajomy, nieznajomy, byle miał legitymację w dobrym uśmiechu i w dobrem spojrzeniu, będzie godnie przyjęty.

Święcił ks. Plewczyński z Warszawy, kompozytor, autor oratorji grywanych z powodzeniem w Anglji i Szwajcarji. Na poświęcenie zeszli się górale i góralki, były tańce, była zabawa, nawet rozweseliła się najpoważniejsza z literatek — Dąbrowska.

Tym samym pociągiem, co Dąbrowska, przyjeżdżał ks. Grim. Są na Śląsku najpiękniejsze połączenia: ksiądz piszący wiersze. Prałat dostojny, w sutannie z purpurowemi blaskami, układa poematy sceniczne o Wandzie, jak „Jasełka śląskie“, „Kwiat paproci“, „Dwa orły śląskie“ i wiersze „Z nad brzegów Olzy“.

Siedzieli tedy na furce — istebniański proboszcz i pani niewysoka, w stroju turystycznym, z plecakiem na ramieniu. Wiózł ich Jesionowski, nadworny herold „Gospody“, wszędzie ogłaszający jej chwałę. Jej ciszę i przytulność, gościnność i serdeczność gospodnej gaździny.

Jesionowski najpierw uderza w sentyment, potem opowiada anegdoty o „Gospodzie“ i jej mieszkańcach.

Oto np. w czasie, gdy praca pozabiera wszystkich, na stróżowaniu zostaje reemigrant z Francji, pan Cieślar. Ten znów jest ożywionemi „Wierzbami nad Sekwaną“, Istna kronika emigranckiej historji. Wieczorem nieraz nawiedza bibljoteczny pokój i mówi o polskiej niedoli i doli we Francji. Najgorzej jest tam z nieznajomością języka, na tem tle bywają i przykre zdarzenia i wesołe sytuacje.

Np. zamierza jakiś, niedawno do Francji przybyły parobczak iść do lekarza kopalnianego. Ostrzegają go, że napewno nie wiele wskóra, bo nie zrozumie się z lekarzem. Chłopak odważny i śmiały zapewnia, że jakoś to będzie.

A potem między lekarzem i pacjentem taka rozmowa:

— Vous êtes malade?

— Ja, dwadzieścia jeden lat.

— Vous êtes blessé?

— No, toć w plecy.

— Beaucoup?

— I w boku też...

Po powrocie parobek oświadczył: Ii, wielkie rzeczy, fajnieśmy się rozmowili! Miołem się też o co kłopotać...

Ale żadna anegdota Jesionowskiego, żadne potrzykroć powtarzane cuda, nie umywają się do rzeczywistości.

Bo rzeczywistość jest nierzeczywista. Czy to słychać gdzie, że na widok gościa, nieznajomego, lecz gościa, wszystko w domu się odmienia, dzień powszedni staje się świętem — porzucili najpilniejsze prace, gdy jest rzecz jeszcze pilniejsza: gościa na rękach nosić.

Byłem takim gościem. Razem z deszczem spadłem do Skoczowa, do państwa Jejknerów. Właściciele fabryczki. Mają się dostatnio, przecież znowu nie majątek i na Skoczowie nie ordynaci. Na cóż idzie pieniądz? Na artystyczną foetografje. I pan Jejkner foto grafuje jak Bułhak, i pani Jejknerowa, jak Dederko, czy dr. Cyprjan. Żeby choć te fotografje zbierali w albumy, chowali, jak ulubione skarby! Kto chce oglądać zdjęcia Jejknerów, to nie do Jejknerów powinien chodzić. Po przyjaciołach. Po tysiącu znajomych i nieznajomych, którzy ograbiają skoczowską wystawę, kędy panują niemal hiszpańskie zwyczaje.

A Hiszpanji jest zwyczaj, że na co gość spojrzy, to mu gospodarz daje. Odmówić — obelga, coś pochwalił — to bierz, bo ci powiedzą, żeś chwalił nieszczerze. Nawet jeśli żonie gospodarza powiesz komplement, żona idzie za tobą — wypada tyko „zapomnieć ją zabrać“ — w przedsionku.

U Jejknerów nie zapomina się gościnności — jest zanadto zadziwiająca. Może to słowo krzywdzi Jejknerów — gościnność godna podziwu dla nas, a zato pewnie naturalna na Śląsku. Była ona dla mnie dowodem, że niema nic łgania w zaproszeniach do „Gospody poetów“. Pokłoni się tam gościom próg, rozszerzą się cztery ściany — prawda to, a nie żadna ligoniowa „bojka“.

Jejknerowie, fabrykanci - artyści ze Skoczowa są symbolem dzielnicy. Trzeźwa, prosta praca na własnym warsztacie, a na innym znów planie — sztuka.

Ten symbol Jejknerów ma też i doniośiejszą wymowę: ojciec z pochodzenia Niemiec, matka — Czeszka, dzieci — chowane w gorącym polskim patrjotyźmie.

Ano, widać:

„Dudni woda, dudni,
[w cembrowanej studni,
Zakochać się łatwo,
[a odkochać trudniej“.

I któż, do pierona, wydziwi mi teraz, że na tym Śląsku stawiają i fabryki i „Gospody poetów!“. Że się drążą w ziemice i zapadają w serca...

S A T Y R A

Zygmunt Jurkowski

Feljeton jesienny

Ileż to zasłużonych piór opisywało smętek polskiej jesieni, ileż pędzli rozrabiało na paletach jej złociste barwy.

Czy warto silić się raz jeszcze na oddanie tej niewysłowionej melancholji, jaką napawa nas opadający bezszelestnie liść?

Bez słowa odpowiedzi na to rzewne pytanie wkładam moje wyleniałe paletko i wychodzę z domu na wilgotne i zamglone ulice. Miasto przywdziało szatę jesieni, ściślej mówiąc „ubrało jesionkę", wesołe i jaskrawe kolory lata zastąpiły inne, zrudziałe i smutne.

Znikły wdzięki kobiece, które prześwitując spod letnich sukienek, działały tak na nerwy erotomanom, , przysypane naftaliną i zawinięte szczelnie w paltociki, czekają do przyszłej, dalekiej wiosny. Znikły białe, radosne czapki policjantów, ustępując miejsca (w przenośni) butnym korporantkom.

W witrynach sklepowych rozzłociły się piklingi (widomy znak jesieni), a za szybami kawiarń wędząc się w smugach jesiennych dymów, chronią się w cieple żydy o zrudziałych brodach.

Jesień.

Od pięknej Jehanki „zimne wieczory, chłodne poranki", — powiada stare Wielopolskie przysłowie.

Skierowuję swe kroki w Aleje Ujazdowskie. Robią wrażenie dekoracyj, jakie niechybnie wkrótce się ukażą w obumierających kabaretach warszawskich... Latarnie w „lisich czapach" odbijają się w mokrym asfalcie, na pierwszym planie pożółkłe, kasztanowe liście, a na ich tle wałęsają się ponure dziewczęta i grupki „policman boy's".

A najprawdopodobniej ujrzymy na kabaretowych scenkach stary, kochany pałac Łazienkowski z nieodzownemi łabędziami, na tle którego urocza para w stylu Biedermajer'a powinna odśpiewać nowe słowa Własta:

„Jesienne róże marzą wciąż o wygłu-[pianu
Jesienne róże szepcą coś o plajto-[waniu..."

albo coś w tym rodzaju. Niech ich tam zresztą jasny szlagier trafi. Kryjąc się w cieniu kasztanowych liści, posuwam się alejami wzdłuż wilgotnych ławek. Pusto tu i bezludnie, ani śladu z letniej i wiosennej rui, pełnej skłębionych ciał, rozpalonych namiętnością i pożądaniem, atmosfery tak miłej dla pań z „Wiadomości". Nic tu po nich. Aleje są jak wymarłe. Czasem tylko jakiś żołnierz z kuchtą pod rękę, śpieszy na wieczorny (sex) — apel.

Teraz tu miejsce dla ludzi smutnych i zamyślonych, którzy kryjąc swe twarze w postawionych kołnierzach, zasiadają samotnie na wilgotnych ławkach.

Niektórzy szukają tu noclegu, niestety, jest to możliwe tylko do 12-ej w nocy, bowiem gorliwi policman boy's, świetni służbiści, lecz kiepscy chrześcijanie, nie pozwalają dłużej drzemać biedakom i spędzają ich z ławek. Ciekawią mnie ci ludzie bez dachu nad głową. Widać do nich nie dotarły te wszystkie fundusze, na które biorą ciągle nas obywateli, te wszystkie pewności i zaufania, te różnobarwne krzyże, żłoby i żłóbki, samopomoce, ubezpieczalnie, kwitki za siedzenie po godz. 12-ej, za przechodzenie jezdni na ukos, za kucanie w miejscu nieprzepisowem, te wszystkie P. I. F. F-y, P. A. F. F-y, Z. U. P. Y. i inne...

Przypomina mi się dodatek filmowy PAT-a, w którym pokazywano nam przez długie miesiące, jak to mądrze zatrudnia ludzi tak zwany fundusz bezrobocia. Jak dziś widzę min. Jędrzejewicza, który z wyrazem krystalicznej niewiary w oczach słucha wyczerpującego referatu na ten temat, a potem walące się słupy bazaltu przy których zatrudnia się tylu to a tylu ludzi, potem tama na ukończeniu, przy której pracuje tylu a tylu... i tak aż do zupełnego obrzydzenia.

A dalej przypomina mi się coś z rubryki „Czy wiecie że...?"

Czy wiecie, że pewne czynniki towarzyskie są winne za hulanki w jednym z warszawskich dancingowych lokali około pół miljona złotych?

Pocieszając się myślą, że bywalcy sumy tej nigdy nie spłacą, powracam z tych wspomień do rzeczywistości i przysiadłszy się do pierwszego z brzegu samotnika, rzucam pytanie:

— Czy nie ma pan gdzie spać?

Bezdomny spogląda na mnie lękliwie i odpowiada półgębkiem.

— Owszem, mam gdzie, ale co to za spanie, funta kłaków nie warte.

— Gdzież pan tedy sypia?

— Do północy siedzę tu na ławce a potem to sypiam na Długiej w wnęce domu Ministerstwa Opieki Społecznej. znalazłem tam dość ciepłą i zaciszną wnękę.

— Pan zapewne stracił posadę?

— O tak. byłem profesorem Uniwersytetu. zredukowano mnie w zeszłym roku wraz z katedrą...

Podziękowawszy za informacje, przysiadam się do następnego myśliciela i zapytuję:

— Jakież to złe losy pozbawiły pana dachu nad głową?

— To niedawna historja — odpowiada samotnik, kryjąc oblicze w kołnierzu podszytego wiatrem paletka. — Datuje się od ostatnich wyborów, byłem nauczycielem arytmetyki, miałem spokojny żywot, aż tu, djabli nadali wybrano mię na „męża zaufania" przy wyborczej urnie.

— No i co?

— Ano nic, liczyłem głosy ze ścisłością matematyka no i...

— I co?

— I później wylali mię z posady...

— Czy tylko pana samego?

— Nie, wylali również wojewodę, o śpi tam na sąsiedniej ławce.

— Czy pan czasem nie z Łodzi?

— Tak, to moje rodzinne miasto, a czy pan mnie zna?...

— Nie, tylko tak mi jakoś wpadło na myśl.

Żegnam matematyka i podchodzę do następnego.

— Czy pan również nie ma dachu nad głową?

— A juści, że nie.

— Czy oddawna?

— Od ośmiu lat.

— Jak to się stało, niech pan opowie.

— O, to dawne czasy, była taka sobie wojna, właściwie nie wojna tylko strzelanina, między znajomymi. Byłem wtedy sierżantem przy karabinach maszynowych. Kazali mi bronić jednego przejścia na lotnisku, ano broniłem, jak umiałem, okopałem się z „maszynką" i kto tylko łeb wychylił, to w niego grzałem, wyłożyłem tak z pięćdziesięciu.

— No i cóż dalej?

— Ano, teraz nie chcą mi nigdzie dać zajęcia, powiadają, że jestem człowiek nie ich, że mają to wszystko o mnie zapisane i że nigdzie mi posady nie dadzą. Żebym mógł gdzie dostać jaki polecający list — urwał i tępo zapatrzył się w ziemię.

Żegnany cichemi westchnieniami, zdążałem w drogę powrotną, rozmyślając o tych nowo-odkrytych źródłach bezrobocia.

Mają wszystko skrzętnie zapisane, kto ich a kto nie, wszystko pamiętają, nie zapomną, nie darują.

Cóż to za krasnoludki, cóż za gnomki przedziwne trudnią się tą podziemną czarną buchalterją? Kto opłaca ich czas i z jakich funduszów?

Wracając do domu, przechodziłem umyślnie przez jezdnię naukos i w miejscach niedozwolonych, uczyniłem to z dziką przekorą około 30-tu razy.

Żaden policjant nie zauważył. Wycofałem w ten sposób z funduszu około 30 złotych, dobre i to...

Z drzew opadały bezszelestnie polecające liście.

W cieniu zapomnianej krzywoszyny



Rys. Z. Jurkowski.

Odpowiedzi działu satyry

Zaniepokojonemu w Dubrowniku: Pyta pan czy nie znamy przypadkiem nazwisk macedońskich spiskowców. Owszem, oto są: główny sprawca zamachu nazywa się Caiomel vel Suk, vel Georgjew, vel Czarnomorskij. Drugi pośredni sprawca zamachu nazywa się Halny, jak to sam zeznał w ciągu pierwszej doby badania. W następnej dobie ujawnił swoje prawdziwe nazwisko, które brzmi Miło Krajać. Policja marsylska spodziewa się, że dalsze badania naprowadzą na ślad następnych nazwisk tego delikwenta. Trzeci sprawca nazywa się Mio Kran, ale przyparty do muru systemem macedońskim, osobnik ten przyznał się, że jest kobietą i nazywa się Mia Krana. Wiadomości te zawdzięczamy energicznej policji francuskiej i sądzimy, że ciekawość pańska została zaspokojona.

P. S. W ostatniej chwili spostrzegliśmy, że list Pański jest datowany dnia 5-go października, czyli na cztery dni przed zamachem. To zmienia postać rzeczy. Żałujemy, że dopiero teraz jesteśmy w możności udzielić Panu potrzebnych informacyj. (z. j.).

Krawcowi: Skarży się pan, że dręczą go wyrzuty sumienia. Ubierają się u pana różni klienci, pos. Idzikowski, p. sen. Wyrostek, u pana również ubierali się pp. Dobiecki i inni. Wszystkim przyszywał pan do ubrania guziki z napisem „For Gentlemen". Tymczasem teraz wyszły najaw takie sprawki tych panów, że żadną miarą nie może pan, wedle pańskiego listu, dawać tym panom swego stempla „For Gentlemen". Istotnie. Poruszył pan kwestję bardzo doniosłą i subtelną. Rzeczywiście: czy krawiec będzie w zgodzie ze swem sumieniem, przyszywając tym wszystkim panom guziki z napisem „For Gentlemen"? Wydaje nam się, że niestety, nie. Cóż więc pan ma czynić?

Po długim namyśle, doszliśmy do wniosku, że nie pozostaje panu nic innego, jak przyszywać guziki z napisem „For Ladies". (v.).

Prokuratorowi W., Chojnice: Łaskawy pan jest zdania, że zohydzanie tak pięknej miejscowości, jaką jest Bereza Kartuska jest conajmniej niewłaściwe. Ba! więcej nawet, domagał się pan za to najsurowszego wymiaru kary. Brawo! Ma pan zupełną rację. Bereza ma świetne warunki klimatyczne i po osuszeniu wraz z całem Polesiem, może się stać modnem uzdrojowiskiem. I że pan to zauważył siedząc w Chojnicach, no... no... Niechże pan jaknajwięcej mówi o Berezie. Dużo i głośno o Berezie! Może usłyszą pana tu w Warszawie. Wtedy poprzemy pana. Bo my mamy (o czem pan pewnie nie wie) stosunki w sanacji. (z. j.).

Melomanowi: Czytywał Pan w pewnym mizdrzącym się do sanacji brukowcu rubrykę p. t. „Co w trawie piszczy" i zmierziło Pana to ciągłe, godne cyrkowej galerji wygwizdywanie rzekomego „fałszu" w koncercie Hofmana. Ponadto w tejże rubryce czytał pan coś o „wagnerowskim Sigurdzie" i w związku z tem wszystkiem zapytuje pan, czy można ufać tym panom w kwestjach dotyczących muzyki. Odpowiadamy: „Fałsz" Hofmana, to nic nieznaczące powinięcie się palca. „Wagnerowski Sigurd" to „fałsz" świadczący o powinięciu się inteligencji autora. W imieniu Pańskiem i naszem radzimy „piszczącym w trawie" melomanom, czyli t. zw. pasikonikom, interesować się raczej muzyką podwórzową i to czynnie, osobiście i nagminnie. (z. j.).

Very

Wiadomości bieżące

WARSZAWA, 21.10. (Tel. wł.). Niemiłe wrażenie sprawiło tu odkrycie, jakiego dokonała policja w mieszkaniu znanego publicysty p. A. N. Już oddawna władze śledcze miały na oku mieszkanie na Grochowie, o którem krążyły niepochlebne wieści. Wczoraj postanowiono zlikwidować sprawę i o godzinie 3-ej nad ranem przedstawiciele policji, w towarzystwie funkcjonarjuszów Urzędu Śledczego wkroczyli do obserwowanego lokalu.

Gdy wyłamano drzwi, oczy obecnych uderzył przykry widok. W pokoju stołowym stał, przybrany w fartuch rzeźnicki, p. A. N. i oprawiał znanego działacza politycznego, posła Wiślickiego, który wisiał za tylne kończyny na haku w suficie. Przy bocznym stoliku siedziało kilku przyjaciół politycznych p. A. N., którzy jedli wątróbkę posła Wiślickiego na surowo z pieprzem, oliwą i cytryną. W kącie moczył się w occie pos. Grynbaum, w kuchni skrobano pos. Thona, świeżo zaszlachtowanego i oparzonego wrzątkiem, na balkonie zaś kruszał pos. Szereszewski, oprawiony już dwa dni temu. Jak wykazało śledztwo, pos. Szereszewski miał być podany w śmietance, z zapiekanemi kartofelkami, pos. Thon faszerowany, na zimno, z sosem Cumberland, pos. Grynbaum zaś w galarecie. Wszyscy trzej byli przyprawieni w sposób rytualny.

W kołach przyjaciół politycznych p. A. N. odkrycie to wywołało konsternację. Krążą pogłoski, że będą się starać przemilczeć tę sprawę.

Janusz Minkiewi-z

Aktualja

Przed dwoma tygodniami ogłosiliśmy na tem miejscu amnestję dla różnych osób, które chlastaliśmy nieraz t. zw. „biczem ciętej satyry". Na liście tych osób znalazł się m. in. i Kaden z adnotacją, iż otrzymuje amnestję pod warunkiem spokojnego zachowywania się i niedostarczania nam tematów do działu satyry. Lekkomyślny impresarjo zlekceważył sobie jednak nasz warunek.

Oto prasa anacyjna zamieściła niedawno komunikat P. A. T-a donoszący, co następuje:

W ostatnim dniu obrad kongresu teatralnego odbywającego się z inicjatywy Fundacji im. Volty i zorganizowanego przez włoską akademię wygłosił przemówienie delegat polski, J. Kaden - Bandrowski.

— Ho, ho! — Cieszy się satyryk. — Jakaś nowa VOLTA Kad... z inicjaty... Fundacji im. Volty! I czyta dalej:

Przemówienie to, przerywane często oklaskami, było wielkim sukcesem delegata polskiego. Widocznem było, że znakomity pisarz włoski L. Pirandello, zasiadający przy stole prezydjalnym oraz wódz futuryzmu Marinetti, przysłuchujący się uważnie wywodom J. Kaden - Bandrowskiego często mu przyklaskiwali.

Nie umiem na pamięć depeszy P. A. T.-a o czerwcowem przemówieniu Miriama w Paryżu, ale pamiętam, że tekst był niemal identyczny. Akademicy francuscy i prezydent Lebrun napewno także mu przytakiwali i urządzali „burzliwe owacje".

Autokreklama naszych akademików jest uboga w pomysły. Przecież stwierdzenie, że tacy a tacy panowie przytakiwali, nie jest jeszcze momentem dość atrakcyjnym. Możnaby się wysilić i napisać stały szablon do podawania stałych tego rodzju wiadomości. Naprzykład taki:

Cały Paryż, Rzym, Londyn (niepotrzebne skreślić) pozostaje pod piorunującem wrażeniem arcydonioslej mowy Miriama Kadena Sieroszewskiego (niepotrzebne skreślić). Pisma wydały dodatki nadzwyczajne, opisujące przebieg tego wiekopomnego wydarzenia. Oto, gdy chluba naszej literatury, weszła na mównicę, w mgnieniu oka zasypana została wiązankami kwiecia przez prezydenta Lebruna, Mussoliniego, króla Jerzego (niepotrzebne skreślić). Przemówienia, trwającego niespełna pięć godzin publiczność wysłuchała stojąc. Mowę przerywała raz po raz rykiem niedającego się opisać entuzjazmu nabita (w butelkę... przypisek opozycyjnej redakcji) sala. Po skończonem przemówieniu, dostojnego prelegenta Dekobra Marinetti Shaw porwał na ręce i wyniósł na ulicę, gdzie wyjące z zachwytu tłumy, jedynie dzięki interwencji dwóch pułków wojska nie rozszarpały z entuzjazmu słynnego akademika...

Długo jeszcze można snuć takie opowiadanie. Tylko trzeba się do tego umiejętnie zabrać. Coś niecoś postudjować, coś niecoś poczytać.

Choćby taką „Trylogję" Sienkiewicza. Uniknęłoby się wtedy takiej gaffy, jaką popełnił p. J. Kaden - Bandrowski, w artykule swoim „Odsyłacze do odsyłaczów" (dyskusja z Karolem Radkiem) zamieszczonym (nie Radek, lecz artykuł) w numerze 278-ym „Gazety Polskiej". Takie oto zdanie czytamy w tym artykule:

Znakomity publicysta sowiecki Karol Radek, pożycza sobie w tej opresji chwytu Zagłoby i ofiaruje mi Inflanty.

Wielka szkoda, że sekretarz Akademji Literatury, nie zna tejże literatury! Niech się więc zapyta byle ucznia czwartej klasy, a ten już go objaśni, że Zagłoba ofiarowywał nie Inflanty, lecz Niderlandy. Tak, NIDERLANDY! A najlepiej to samemu sobie poczytać i „Ogniem i Mieczem" i „Potop"!

Że co? — Niema pan czasu?— Musi pan dziś być na trzech bankietach? Nową sztukę Grubińskiego musi pan przeczytać? Ma pan posiedzenie rady nadzorczej? I zebranie zarządu? I audjencję u komisarza?

A literaturą się zająć nie łaska? A czytać, a uczyć się, a studjować? A Bigdę kończyć? A napisać wreszcie coś porządnego!

Bo inaczej, to wstyd będzie! I przed Dziadkiem i przed Patkiem, no a przedewszystkiem przed Radkiem!

Marja L. Krüger

Dyr. Szyfman wystawia Hamleta

Po zejściu z programu „Snu nocy letniej", dyr. Szyfman zamierza wystawić „Hamleta". Rolę tytułową powierzono popularnemu komikowi, p. Adolfowi Dymszy, pozostawiając mu wolność interpretowania Szekspira. Jak wiemy z pewnych źródeł, Dymsza opracowuje już rolę, parafrazując zlekka starego, poczciwego Szekspira.

HAMLET:

Ofelja! — Nimfo, ach mon Dieu
Za moje grzeszki pomódl się.

OFELJA:

A jakże książe czuje się?

HAMLET:

Merci, dość dobrze. Nawet — bien.

OFELJA:

Słóweczko, książę. A propos
Chcę zwrócić panu petits cadeaux
Vous comprenez — nie dla mnie to
Zbyt tanie. Weź je. Oto są.

HAMLET:

Tiens, tiens. Pytanie jedno mam —
W uczciwość wątpię twą — madame.
Kobietki? — znam je dobrze, znam.
Są piękne tu, — uczciwe tam.

Parole d'honneur i sacrebleu
Wybacz, że tak wyrażam się
Lecz nie kochałem nigdy cię.

OFELJA:

A zatem książę, zawiodłeś mnie.

HAMLET:

I och! pardon! i och! pardon!
I do klasztoru proszę wont.
Grzeszników mnożyć? — ach fi donc!
Ofeljo — gdzież jest dobry ton?

A zaś co do mnie — proszę wierz,
Despota jestem, dziki zwierz
Wytworny goguś, albo też —
Winegret. Et mon coeur — jest sèche.

I jeśli chodzi o mariage,
O damskie sprawy, maquillage
Zalecam męski sabotage,
A zreszta wszystko... quelle dommage!